

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.
Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 80 zł.
 $\frac{1}{2}$ „ — 40 „
 $\frac{1}{4}$ „ — 20 „
 $\frac{1}{8}$ „ — 10 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Kto wygra?

Bezpośrednim skutkiem dojścia do władzy Hitlera było przetasowanie gruntowne kart w politycznej grze największych państw. Postawa obecnych zwyciężonych Niemiec wskrzesiła w pamięci polityków przebieg wojny światowej, kiedy to te same Niemcy, otoczone pierścieniem frontów wojennych, wykazały niezwykłą napastliwość, odporność i doskonałą organizację. Wspomnienia te przy dzisiejszych apetytach niemieckich i ich tendencjach odwetowych wywołały duże zaniepokojenie w świecie politycznym i doprowadziły ostatecznie do nowego układu sił w Europie.

Prześladowanie komunizmu w Niemczech i deklaracja Hugenberga na konferencji gospodarczej w Londynie zmusiły Sowiety do ożywienia akcji dyplomatycznej na Zachodzie, z myślą jednocześnie o niebezpieczeństwie na Dalekim Wschodzie. Litwinow raptem „wynałazł” definicję napastnika, jak gdyby to trudno było uczynić wcześniej i zawarł cały cykl paktów o nieagresji, które faktycznie nabierają ostatecznie znaczenia sojuszków politycznych i skutecznie rozwiewają niemieckie miraż o odwecie oraz nadzieje pokładane na pakt Czterech.

Sowiety zagarnęły moc atutów do ręki. Mimo nieciekawej sytuacji wewnątrz, nadają obecnie ton polityce światowej i jeszcze nigdy nie czuły się tak pewnie na gruncie międzynarodowym, jak obecnie. Rzeczy, które przed paru laty mogły wydawać się nie do pomyślenia, dzisiaj oglądamy z malejącym z dnia na dzień zdziwieniem. Herriot zwiedza większe miasta ZSSR, ściska się z robotnikami w klubach, nie szczędzi słów uznania i zachwytu. Za nim leci minister Cot. Wysuwa się na widownię projekt uznania Sowieców de jure ze strony Stanów Zjednoczonych, jak gdyby sowiecki „Amtorg” w Amery-

ce zbyt różnił się od zwykłej ambasady. Watykan po raz drugi próbuje nawiązać kontakt z państwem bezbożników. A w Polsce? Tu bardziej, niż gdziekolwiek rzuca się w oczy zmiana sytuacji. Zbliżenie polsko-sowieckie tak się zacieśnia, że już otwarcie mówi się i pisze się o możliwości wizyty Marsz. Piłsudskiego w Moskwie, a Budiennego w Polsce. Do najnowszych przejawów zmiany kursu zawsze napastliwej prasy sowieckiej należy zaliczyć wystąpienie, jak przypuszczają, wybitnego generała sowieckiego na łamach „Bolszewika”. Pisze on, że Pomorze z korytarzem zamieszkuje 90 proc. ludności polskiej i nie może być przeto kwestionowane co do swej przynależności państwowej, przyczem autor artykułu, wbrew dotychczasowemu w prasie Sowieckiej zwyczajowi, operuje nazwami geograficznymi na Pomorzu w brzmieniu polskim.

Słowem, giętkość sowieckiej polityki i jej ugodowość względem Polski uderza coraz bardziej w oczy i trudno doprawdy przewidzieć, w jakiej formie będziemy ją oglądać w czasie najbliższym. W każdym razie niewątpliwie porozumienie polsko-sowieckie odbije się na losie ludności zamieszkującej t. zw. Ziemię Wschodnie. Oprócz wspólnego frontu antyniemieckiego są bowiem i inne dziedziny, które mogą być przedmiotem wspólnych posunięć, siłą rzeczy godzących w interesy Białorusinów i Ukraińców. Z chwilą zbliżenia polsko-sowieckiego całkiem inną formę zapewne przybierze polityka narodowościowa obu państw. Jak wiadomo, przedtem byliśmy świadkami swojego rodzaju konkurencji i licytowania się w ustępstwach na rzecz potrzeb ukraińskich i białoruskich. Wprawdzie strona polska w tych zawodach prawie nie ruszała się z miejsca, to jednak nie mogła nie liczyć się ze zdobyczami kulturalnymi, osiągniętymi przez Ukraińców i Białorusinów za kordonem wschodnim i musiała godzić się na pewne koncesje dla mniejszości słowiańskich

u siebie. Z chwilą zawarcia ugody, licytowanie się takie nie tylko musi ulec likwidacji, lecz wytwarza grunt do uzgodnienia choćby na niedługą metę zagadnień polityki narodowościowej. Byłoby to coś w rodzaju uzgodnienia w pracach meljoracji Polesia, o czym niegdyś już pisaliśmy. „Uzgodnienie“ takie może przynieść jeszcze dużo przykrych niespodzianek Białorusinom i Ukraińcom pod płaszczykiem walki z nacjonalizmem mniejszościowym.

To też mniejszości słowiańskie w Polsce odniosły się do nowej sytuacji z wielką rezerwą. Świadczy o tym najlepiej milczące oczekiwanie ze strony społeczeństwa ukraińskiego i białoruskiego. Naogół nic się tu nie zmieniło, jeśli nie liczyć, że na gruncie wileńskim ukazało się pismo białoruskie, którego kierunek niektórzy określają jako... sowiecko-polonofilski. Czy słusznie? — trudno na to odpowiedzieć z całą pewnością. Zjawisko to bądź co bądź potęguje gmatwaninę i dezorientację pośród Białorusinów.

Od pogłębiającej się dezorientacji nie są oczywiście wolne społeczeństwa bez różnicy narodowości. Zmiany, które obecnie dokonały się na gruncie polityki międzynarodowej, były wynikiem jedynie dyplomatycznych posunięć rządu. Parlament zresztą jak i każdy inny, nigdy nie odznaczał się zbytnią szczerością i wyczerpującymi debatami z dziedziny polityki zagranicznej. W tym wypadku nie miał wogóle możliwości zabrania głosu. Nic więc dziwnego, że stosunki polsko-sowieckie rozwijają się w atmosferze zagadkowości i jaknajdalej idących przypuszczeń.

Przyzwyczajiliśmy się myśleć, że ustrój komunistyczny i kapitalistyczny biegunowo różnią się i wzajemnie się wykluczają. I tak jest istotnie. Różnica jest tak ogromna, że każdy kapitalista polski czy wogóle pierwszy z brzegu przedstawiciel burżuazji z ręką na sercu musi przyznać, że pre-

dezji zgodzi się włączyć swoim majątkiem lub fabryką pod władzę Hitlera, niż oddać je w posiadanie państwa komunistycznego, choćby ono było czysto polskim. Przykład to jaskrawy, paradoksalny, lecz całkiem logiczny. Albowiem wytworzyła się sytuacja, przy której przeciętnemu obywatelowi wydaje się, że bliższa jest droga do Moskwy, niż do Berlina. Jest to oczywiście złudzenie, może i nieszkodliwe, ale zawsze złudzenie, które wcześniej, czy później musi doprowadzić do rozczarowania u tych wszystkich, którzy dla obrony ustroju kapitalistycznego chcieliby wzywać na pomoc... komunistów. Ale w polityce jak w polityce, każdy układa się z każdym, jeśli tego wymaga nakaz chwili. Nie może zresztą każda nienawiść trwać wiecznie. Sedno rzeczy jednak leży w tem, kto potrafi i będzie miał dostateczne siły wyciągnąć korzyści z układów? Pod tym względem bardzo są znamienne słowa Herriota w Moskwie „Macie przyjaciół dużo, bo jesteście silni, będziecie mieli ich więcej, jeśli będziecie jeszcze silniejszymi“. Przypomina to cokolwiek oświadczenie Bernarda Shaw'a, który radził trzymać proch sowiecki suchym i był narówni z Herriotem, jeśli nie bardziej, zachwycony bolszewickim państwem.

Ktokolwiek dziś zadaje sobie trud wnikania w arkana „współpracy“ komunistyczno-kapitalistycznej, ktokolwiek z tej strony sowieckiego kordonu zamierzał zaoszczędzić sobie błąkania się w ciemności, zdziwienia z dzisiejszej sytuacji oraz rozczarowań, ten, na chwilę zapomniawszy o swoich uprzedzeniach do bolszewizmu i jego literatury, winien przeczytać poprostu dzieła Lenina, obecnie legalnie sprzedawane w naszych księgarniach. Między setkami ciekawych wynurzeń napotkamy tam następujący ustęp, druzgoczący swoją szczerością i aktualnością, choć napisany był przed dziesięciu czy kilkunastu laty:

„Prowadzić wojnę dla obalenia międzynarodo-

„Pani Orzeszkowa” *).

Grodno przedwojenne zapewne dotychczas pamięta przystojnego a okazałego oficera armji rosyjskiej, o twarzy rasowego ziemianina, Franciszka Godlewskiego, o jakim nie bez podstaw świadomi rzeczy mówili i mówią, że był ostatnią miłością — *bonny soit qui mal y pense!* — Elizy Orzeszkowej. Dziś oto mamy przed sobą świeżo wydane jego wspomnienia o wielkiej powieściopisarce. Już dawno odczuwała się potrzeba obszerniejszego jej życiorysu, przyczem rodziła się zawsze świadomość, że zadanie jest trudne i wymagać będzie od autora tyleż miłości prawdy, ile wżycia się w nader skomplikowaną psychikę Orzeszkowej, nie mówiąc o delikatności w rozwikłaniu szeregu drażliwych momentów w życiu wielkiej Grodnianki. Dlatego cieszyć się tylko wypada, że praca nad życiorysem Orzeszkowej już się

rozpoczęła, i to wcale udatnie, bo inicjator p. Fr. Godlewski, od pierwszych stronic cennych swych wspomnień, wyraźnie zarekomendował siebie, jako pisarza miłującego prawdę, posiadającego odwagę i umiającego cenić niezależność własnej myśli i uczucia. *Nic w nim z bronzownika*, chociaż był wybrańcem Orzeszkowej i pełen czci dla niej. Przyszły więc jej biograf nie będzie już mógł pominąć pracy Franc. Godlewskiego.

Tylko w szerszym znaczeniu można było nazwać za autorem naszą powieściopisarką „*wielką samotnicą*“, a to dla związania się jej, na życie i na śmierć, z cichem prowincjonalnym Grodnem, bo ściśle mówiąc, Orzeszkowa otoczona szczerze licznym fracymerem i liczniejszym jeszcze kołem adoratorek i adoratorów, nie była bynajmniej samotną. Komunikacja z Grodnem była łatwa, a Warszawa i Wilno blisko. Rzadko nie było u niej gości. Raczej chyba podziwiać trzeba umiejętność wykorzystania czasu w takich warunkach i płodność pióra, którego pozycyji literackich uzbierało się przeszło sto.

Nakreślił przez Fr. Godlewskiego konterfekt

* Franciszek Godlewski — „Pani Orzeszkowa”. (Wspomnienia) z ilustr. Warszawa 1934. (Dom Książki Polskiej Sp. Akc.). Str. 71.

wej burżuazji, wojnę, która jest stokroć uciążliwsza, bardziej przewlekła i skomplikowana, niż najsroźsze ze zwykłych wojen między państwami i przytem zgóry rezygnować z lawirowania i choćby nawet chwilowego wykorzystania sprzeczności interesów w obozie wrogów, z paktowania i zawierania kompromisów z ewentualnymi choćby nawet chwilowymi, niestałymi, chwiejnymi i warunkowymi sprzymierzeńcami — czyż nie jest to bezgranicznie śmieszne?*)

Wnioski z tych słów wypływają same przez się.

Cytata powyższa mogłaby nie być przekonująca, gdyby nie ten ogólnie znany fakt, że tezy Lenina są nieomylną gwiazdą przewodnią dla polityki rządu sowieckiego. Dzieła jego są pozatem traktowane jako literatura wychowawcza nowych pokoleń na obszarze szóstej części globu.

Twórca bolszewizmu już dość dawno nie przemawia z trybuny, nie rządzi, spuścizna jednak po nim, zaklęta w martwe litery, rośnie w oczach komunistów całego świata do powagi niewzruszonej ewangelii nowego ustroju. Lenin, spoczywający na placu kremłowskim, milczy, lecz ten z półek księgarskich żyje, mówi i coraz silniej rządzi. Ta cecha będzie prawdopodobnie znacznie odróżniała go od wszelkich innych dyktatorów.

Dzisiejszy zdezorientowany obywatel, jeśli chce mieć trzeźwy pogląd na rzeczywistość, nie może tych rzeczy nie brać pod uwagę.

Reforma pisowni białoruskiej jako środek rusyfikacji.

W myśl rozporządzenia Prezydium Komisarzy Ludowych BSSR („Zwiazda“, z dnia 28.VIII.33 r.) na

*) Lenin. „Dziecięca choroba lewicowości” Warszawa 1933.

terenie Białorusi Sowieckiej od dnia 15 września r. b. obowiązuje nowa pisownia. Aczkolwiek powyższe rozporządzenie mówi tylko o reformie pisowni, jednak jest ona również reformą języka wogóle. Najciekawszą rzeczą jest to, że wszystkie bez wyjątku innowacje, wprowadzone na podstawie tej reformy do języka białoruskiego, są wzięte bezpośrednio z języka rosyjskiego. Z tego też względu powyższe zjawisko ma nie tylko znaczenie filologiczne, lecz również i polityczne, ponieważ, jak zobaczymy niżej, jest ono niczem innym, jak świadomą i celową rusyfikacją języka białoruskiego.

Reforma pisowni białoruskiej obejmuje aż 27 zjawisk językowych. Jednak z powodu braku miejsca ograniczymy się tutaj do podania najważniejszych zmian wprowadzonych do języka białoruskiego. Te zmiany są następujące:

1. Postanowiono, jak i w języku rosyjskim, usunąć miękki znak z pomiędzy spółgłosek miękkich. Zamiast dotychczasowych *сьнег, зьянць, цвьёрды*, — jest teraz *снег, зьяць, цвьёрды*.

2. Podwójne *дз* postanowiono oddawać przez *дзэ*. Piszą teraz *судзьзя, разводзьдэ, а не судзьдзя, разводзьдэ*, jak tego wymaga język białoruski.

3. W połączeniach tematowego *д* z dźwiękiem *с* (s) następującego sufiksu postanowiono *с* (s) zachować bez zmiany. Zamiast dotychczasowego *гарадзкі, грамадзкі*, — jest teraz jak w języku rosyjskim — *гарадэкі, грамадэкі*.

4. Spółgłoski *г, ж, з, х, ш* w nazwach geograficznych postanowiono nie zlewać z *с* następującego sufiksu, przyczem *г, ж, х*, w większości wypadków nie mogą być zmieniane na *ж, ш* (Волежскі, Кауказскі, Чешскі, а не Волекі, Кауказкі, Чэскі, jak pisano dotychczas).

5. Międzynarodowe wyrazy rewolucyjne nie podlegają zasadzie „akania”. Przyjęto pisać na sposób rosyjski — *совет, большэвік, комуна*, а nie *савет, бальшавік, камуна*. W innych wyrazach cudzoziemskich *о* można oddawać przez *а*, natomiast wbrew właściwościom fonetycznym języka białoruskiego postanowiono zachować bez zmiany *е* miękkie (*прафэсар, Унівэрсітет* а nie *прафэсар, Унівэрсытет*).

6. Wyrazy obcego pochodzenia z *л* (l) należy pisać zgodnie z wymową tradycyjną języka białoru-

Orzeszkowej jest nader wierny. Taką istotnie była. Znała dobrze „ból jak morze”, a przyczyną jego ustawiczną była nie tylko tęsknota płomienna za utraconą przez naród polski niepodległością państwową, lecz też w niemniejszym stopniu głęboki humanitaryzm, częściowo wrodzony, częściowo wypracowany, który stanowił rdzeń jej światopoglądu. Sądzę, że Godlewski niedostatecznie podkreślił rolę tego ważnego czynnika w charakterze swej wybitnej przyjaciółki.

„Świętę” żeńską Orzeszkowej, z natury rzeczy liczniejszą, autor wspomnień wyliczył z nazwiska, zdaje się dokładnie, są jednak pewne luki w szeregu wymienionych przezeń „dworzan”. Np. wymieniony na pierwszym miejscu Jan Grzeźuiko był u Orzeszkowej i poślubił jedną z „panien dworskich”, starszą Eysymontównę, jednak zmanierowany raził sobą sporo grodnian, uchodząc u niektórych nawet za napół komiczną figurę. Jerzy Osmołowski... Znałem niefortunego komisarza Ziemi Wschodnich w Wilnie o tem nazwisku, lecz nie mogę ich zidentyfikować. Józef Jodkowski... Tak, oczywiście, był dzisiejszy

zasłużony kustosz Muzeum w Grodnie u Orzeszkowej, lecz podówczas liczył może siedemnaście wiosen ukończonych., co bynajmniej ujmy mu nie przynosi. Wypadły znać z pamięci autora wspomnień takie nazwiska starszych panów, jak Kościałkowski, Dąbrowskiego, Eysymonta, Bielawskiego, Talhejma, a z młodszych Witolda Kozłowskiego, Antoniego Szemiaki i in., których już nie pamiętam lub nie znałem z nazwiska.

Rozumie się polska mowa w Grodnie była wtedy tak samo w nielasce, jak i wszędzie, wynikały z tego powodu różne incydenty, ścisłość jednak nie pozwala pisać z emfazą o „rozplakatowanych (w Grodnie) rozkazach: *Zabrania się mówić po polsku!*” Chciałoby się wiedzieć, gdzie je w Grodnie widziano? Muzea wileńskie posiadają zaledwie jedną, drugą taką tabliczkę. Czy ma je Muzeum Państwowe w Grodnie? Ale to mimochodem. Zbyt już dziś łatwo i nawet popłatnie perorować i zawstydząć tych, co swego czasu nieraz w Grodnie i gdzieindziej, gięli kark przed zaborcą. Trzeba atoli pamiętać, że tak Orzeszkowa, jak prawie wszyscy jej dworzanie

skiego, t.zn. z л twardem: метал, бензол, алмаз, бланк, клас, план. Zaznaczamy przytem, że właśnie tradycyjna wymowa języka białoruskiego wymaga w powyższych wypadkach л miękkiego. Wyrazy z л twardem należą do jawnych rusycyzmów.

7. Obce th przyjęto pisać przez ф: кафедра, міф, лагaрыфм, wówczas, gdy w rzeczywistości język białoruski wymaga tutaj tylko т (т) кафедра, лагaрытм. Również obce ф ma być oddawane tylko przez ф wówczas, gdy język białoruski z zasady dźwięku ф nie zna i oddaje go za pośrednictwem głosek ch, chw.

8. Wyrazy obcego pochodzenia, jak пролетарый, алюміній — przyjęto pisać z końcówkami -ый, -ій i odmieniać je podług rzeczowników typu май. Powyższa zasada jest jawnym rusycyzmem, ponieważ język białoruski zna tylko końcówki -ы, -і.

Rzeczowniki rodzaju męskiego w dopełniaczu liczby pojedynczej postanowiono pisać z końcówkami rosyjskimi а, я: завода, інстытута, соцыялізма, універсітета, а nie заводу, інстытуту, соцыялізму, універсітэту, jak tego powszechnie wymaga język białoruski.

10. Postanowiono białoruskie końcówki celownika i miejscownika liczby mnogiej rzecz. rodz. męskiego -ом, -ох zmienić na odpowiednie końcówki rosyjskie -ам, -ах (братам, аб братах, кіраўнікам, аб кіраўніках, zamiast: братом, аб братох, кіраўніком, аб кіраўніках).

Oto ważniejsze zmiany, wprowadzone obecnie do języka białoruskiego. Lecz na tem jeszcze nie koniec. Artykuł 30 rozporządzenia Prezydium Komisarzy Ludowych BSSR o reformie pisowni białoruskiej opiewa, co następuje: „Polecić Komisarzowi Oświaty Ludowej BSSR oraz Białoruskiej Akademii Nauk niezwłocznie przystąpić do systematycznej pracy naukowej w celu dalszego rozwoju i uporządkowania pisowni białoruskiej, gramatyki i terminologii. zorganizować nowe wydawnictwa słowników białorusko-rosyjskich, usuwając z języka białoruskiego burżuazyjno nacjonalistyczne pierwiastki”. Należy się przeto spodziewać, że powyższa reforma jest tylko zapowiedzią reform dalszych, które ostatecznie z języka białoruskiego utworzy sztuczny żargon białorusko-rosyjski.

Z tem, że powyższa reforma ma na celu stopniową rusyfikację języka białoruskiego, nie kryją się również i inicjatorowie tej reformy. Bo oto wice-prezes Białoruskiej Akademii Nauk H. Dąbał w „Zwiazdzie“ z dnia 1.IX.33 r. oficjalnie podaje, że białoruscy nacjonal-demokraci, znajdujący się dotychczas na odpowiedzialnych stanowiskach w BSSR, „dążyli do stworzenia sztucznej bariery pomiędzy językiem białoruskim i rosyjskim i, orjentując się na burżuazyjny zachód, usuwali z języka białoruskiego pierwiastki rosyjskie oraz polonizowali język białoruski“. W dalszym ciągu H. Dąbał zaznacza, że niniejsza reforma ma na celu zatarcie ważniejszych różnic pomiędzy językiem białoruskim a rosyjskim, czyli innymi słowy — rusyfikację języka białoruskiego.

St.

Z mego notatnika.

Tem gorzej dla rzeczywistości!

P. Testis, polemizując ze mną w „Kurjerze Wileńskim“, utrzymuje w dalszym ciągu, że opinia szerokiej sfer ludności litewskiej o zbrodniczych machinacjach niemieckich, które miały spowodować katastrofę samolotu Dariusa i Girinasa, jest produktem zdrowego instynktu narodowego, nie zaś psychozy nacjonalistycznej, czego dowodem ma być, jego zdaniem, ta okoliczność, że koła rządowe i wogóle czynniki, urabiające opinię publiczną bynajmniej nie są skłonne do podsycania w społeczeństwie litewskim nastrojów antyniemieckich. Natomiast p. Testis zarzuca mi niezajomość stosunków w Litwie Niepodległej, skoro mogę przypuszczać, że ta sama opinia zwróciłaby się przeciwko Polakom, gdyby samolot spadł na terytorjum Polski. Takie podejrzenie — zdaniem p. Testisa — w środowisku chłopskim nie powstałoby samorzutnie, bez usilnej agitacji w tym duchu ze strony ludzi złej woli.

Nie będę się spierał z p. Testisem, bo obaj, niestety, operujemy przypuszczeniami. Nie przekonamy się wzajemnie i dyskusja na ten temat byłaby bezcelowa. Chodzi mi o co innego.

byli majątkowo nieźle sytuowani (lekarze, mecenasi, ziemianie, rentjerzy), co zwykle czyni człowieka bardziej niezależnym. Tymczasem gros Polaków grodzieńskich stanowili właśnie drobni urzędnicy i drobne mieszczaństwo. Nie ujmując zasług nielicznej, a rekrutującej się z warstw niezależnych materialnie inteligencji grodzieńskiej, wypada stwierdzić, że polskość w Grodnie ocalała i doczekała jutrzeńki wolności właśnie w tych rodzinach urzędniczych i mieszczańskich, których ojcowie i dziadowie przystosowywali się (zewnętrznie) do warunków, a dobrze pamiętające gorzkie doświadczenia 63 r. matki i babki doradzały palić lub same paliły znalezione pod siennikiem u synów proklamację. Rozumie się, z tego nie da się stworzyć efektownego widowiska patriotycznego, dla pokrzepienia ducha, niemniej jest to prawda. Zresztą polską inteligencję Grodna stanowili przeważnie ludzie napływowi, z miastem głębiej niezwiązani. Opuszczali zawsze je przy pierwszej sposobności, szukając lepszego bytu.

Nie można się dziwić, że Grodno przed 50—60 laty wyrażało, na swój sposób prowincjonalny, deza-

probantę tej bliskości, jaka łączyła Orzeszkową ze St. Nahorskim, późniejszym drugim jej mężem. Jeszcze Boya wtedy nie było, jeszcze hasła emancypacji kobiet nie rozbrzmiewały nad Niemnem, a mężczyzna nie porykiwał tak głośno jak dziś o prawo do coraz świeżej kobiety. Mógł też dziwić i sam wybór przyjaciela. Adwokat prywatny St. Nahorski był to sobie palestrant, mocny w języku, trochę krzykacz. Klepał po ramieniu klientelę i przygodnych interesantów, mówił doń: *braciszku!* i obiecywał protekę, która czasem zawodziła, rozczarowując grodnian do patrona i mecenasa. Takich zażalonych spotykałem i znałem. Musiał więc mieć jakieś inne jeszcze „walory“, które przywiązywały doń dobrze osiwiłą Orzeszkową na całych lat trzydzieści... Lecz nie biorę się bliżej dochodzić genezy „kompleksu Elizy“ na tle „klasycznego poniekąd miasta moralności jezuickiej“, jak uciesznie Fr. G. nazywa ciche, senne Grodno.

Miało atoli ono i swą satysfakcję, gdy wreszcie wiekowa ta para stanęła na kobiercu ślubnym. „Nikt o nim (ślubie) nie wiedział, nikt go nie zau-

P. Testis w swej polemice wypowiada następujące zdanie: „P. Licz oburza się na chęć „dopatrywania się u sąsiednich narodów niskich pobudek isklonności do najnikczemniejszych czynów”. Jest to typowy błąd inteligenta, usiłującego zastosować wyższe kategorie nakazów etyki do instynktownych odruchów dość prymitywnego w swej istocie społeczeństwa chłopskiego”.

Otóż popierwsze nie oburzałem się bynajmniej, lecz tylko stwierdziłem obiektywnie powyższy objaw, powtórnie zaś zaznaczyłem wyraźnie, że jest to cecha ogólna, właściwa każdemu bowiem narodowi i wszystkim sferom, nle wyłączając inteligencji. Na czymże polega mój błąd? Czyż p. Testis uważa, że skonstatowanie jakiegoś zjawiska społecznego, chociażby wysoce ujemnego i szkodliwego, zobowiązuje publicystę do uznawania jego za nieuniknioną konieczność i do przystosowywania doń swego stanowiska zasadniczego?

Można tak sądzić poniekąd z innego ustępu art. p. Testisa, a który brzmi, jak następuje: „Czytając „Przegląd Wileński”, trudno czasem oprzeć się wrażeniu, że redakcja tego pisma żyje w jakimś zamkniętym, odgradzonym od reszty świata kole własnych wyobrażeń, sądów i poglądów, uparcie negując istnienie innej, nie odpowiadającej tym wyobrażeniom rzeczywistości. A jednak ta rzeczywistość istnieje i rozwija się zupełnie nie po myśli „Przeglądu Wileńskiego”.

Ta ostatnia uwaga jest najzupełniej trafną. Istotnie rzeczywistość obecna daleko odbiega od ideałów, którym hołduje nasze pismo, jak zresztą głęboko się różni od tego stanu rzeczy, do którego dążyły i dążą najświetlejsze umysły europejskie. Nie jesteśmy więc odosobnieni, a nawet znajdujemy się w nader zaszczytnym towarzystwie.

Nie negujemy rzeczywistości, ale nie godzimy się z nią, nie poddajemy się jej i nie rezygnujemy z usiłowań uratowania przed niszczącym pochodem „griaduszczo chama” tych nieprzemijających wartości, które dziś są wprawdzie deptane i poniewierane, ale które z czasem znów zatriumfują i zajmą należne sobie miejsce. Można by to nazwać donkiszoterją, gdybyśmy głosili hasła przebrzmiałe i przeżyte. Ale w naszym przekonaniu właśnie to wszyst-

ważył”, tak mniema autor, lecz trudno w to uwierzyć.

Ubogi w pamiętnikarskie wzmianki gród nadnie-meński—nie mający ani swego Franka i Titiusa, ani Morawskiego i Puzyniny, jak Wilno, — znajdzie we wspomnieniach Fr.G. o Orzeszkowej niemało wyborne-go dla siebie materiału anegdotycznego. Weźmy stały antagonizm między „hrabiną” Zaleską, pamiętającą jeszcze *Hotel Lambert*, a Orzeszkową, mimo że ich domy w Grodnie były *vis a vis!* Jeśli już o tem mowa, to autor wspomnień nie wyzyskał jeszcze jednego, może bardziej symbolicznego, antagonizmu, który zapewne boleśniej odczuwała Orzeszkowa. Oto sąsiadem jej akurat sprzeciwka był duży gmach gimnazjum żeńskiego *wiedomstwa imperatrycy Marii*, wzniesiony na placu, czy tylko nie nabytym z rąk polskich. Była tu i cerkiew gimnazjalna. Szkoła miała charakter wybitnie rusyfikacyjny, a dyrektor Borzakowski zasłynął jako pedagog złej sławy. Uczęszczało jednak doń sporo katoliczek, przeważnie Polek, właśnie córek urzędników i zamożniejszych rodzin mieszczan-skich. Niejedna rychło po maturze wyszła zamąż za

ko. co dziś widzimy, jest naleciałością czasową, obłędem, brudną pianą, którą zmyje fala dziejowa, natomiast od ideologii, jakiej wyrazem — być może nieudolnym — jest nasze pismo, należy przyszłość.

Gdy Leninowi wtedy, gdy nie był jeszcze u władzy, zwracano uwagę, że rzeczywistość nie sprzyja w najmniejszym stopniu jego światoburczym dążeniom, odrzekł dumnie: „Tem gorzej dla rzeczywistości”. I w istocie rzeczywistość bardzo źle na tem wyszła.

My nie mamy pretensji do roli reformatorów ludzkości, ale sądzimy, że skoro rzeczywistość jest tak daleka od naszych pojęć i wyobrażeń, to w takim razie przedstawia obraz nad wyraz opłakany. I taka rzeczywistość musi źle skończyć. Nie potrzebujemy więc martwić się, że nie skłaniamy przed nią głowy.

Wbrew rozsądkowi.

Ilustracją do pewnego stopnia powyższych rozważań może służyć rozmowa, którą miałem przed kilku dniami z pewnym dobrym moim znajomym o biegunowo przeciwnych przekonaniach.

Z wyrazem złośliwego triumfu w oczach zakomunikował mi on wiadomość o umieszczeniu napisu polskiego na kaplicy Ostrobramskiej zamiast usuniętego w roku zeszyłem łacińskiego.

— „Nie pomogły protesty litewskie i artykuły „Przeglądu Wileńskiego”—dodał po chwili, zdaje się nieco podrażniony moim spokojem, z jakim przyjąłem tę nowinę.— „Nie pojmuję, po co wydajecie pismo, z którym nikt się nie liczy i którego głos rozlega się w próżni? Rzeczywistość drwi z waszych krajowych mrzonek”.

I ten także wytknął mi mój rozdzwięk z rzeczywistością. Nie chciałem dyskutować na ulicy, pożegnałem więc zadowolonego z rzeczywistości mego interlokutora jakimś zdawkowym frazesem, odpowiedź jednakże cisnęła mi się na usta.

Cóż za zaślepienie, by się cieszyć ze zwycięstwa szowinistycznej opinii tłumu nad zasadą tolerancji i katolickiego uniwersalizmu! Smutna zaiste rzeczywistość, i trzeba mieć bardzo niewybredny gust, by w niej smakować. Gdybym nawet był nacjonalistą, to i wtedy nie widziałbym powodu do radości. Jest rzeczą zrozumiałą, że w obecnych wa-

prawdziwego Rosjanina. Bojowniczkę oświaty polskiej, jak Orzeszkowa, te rzeczy bolały więcej niż animozje osobiste między nią a Zaleską, które zresztą w dniu ostatniego jubileuszu powieściopisarki zostały załagodzone pięknym gestem „hrabiny”.

Coś poplątał p. Godlewski, gdy z powodu odwiedzin Kołozy w Grodnie przez pisarkę, mówi, że kiedyś „powszechnie” uważano starożytne głośniki-rezonatory w cerkiewce tamecznej za... „urny po popiołach!” Nikt tego mniemania nawet nie wygłaszał.

Nie da się dowieść niezbitcie, że ul. Rozkosz, gdzie stał dom Orzeszkowej, przemianowano jedynie „na urągowisko” dla niej na „Murawjewską”. Pałac gubernatorski w Grodnie, gdzie rezydował ongiś Murawjew, tyłami swemi i ogrodami sięgał ul. Rozkosz, ponadto przylegała doń Dolina Szwał, carska, skąd w okresie powstania listopadowego dokonano przy moście przez Horodniczanek zamachu na będącego jeszcze wtedy gubernatorem grodzieńskim Murawjewa. Starczyło tego.

Notujemy ciekawy szczegół. „Pewna Białoru-

runkach nie stanowi u nas żadnej trudności zrealizowanie każdego projektu, o ile się uderzy w strunę taniego patriotyzmu. Polskość dziś jest w Wilnie uprzywilejowana i z łatwością odnosi sukcesy na każdym polu. Pytanie tylko, czy zamiana łacińskiego napisu na polski na murach świątyni katolickiej, przyniesie jakąkolwiek korzyść t. zw. sprawie narodowej?

Czy zgodne współżycie narodowości w naszym kraju nie jest rzeczą cenniejszą z punktu widzenia nawet polskiej racji stanu (nie mówiąc już o stanowisku katolickim, zdawałoby się, jedynie obowiązującym duchowieństwo) od zadośćuczynienia mało uzasadnionym domaganiom się jednego tylko odłamu ludności? Skoro Litwinom i Białorusinom tak chodziło o pozostawienie napisu łacińskiego, jako symbolu, że cudowny obraz jest świętością ogólnokrajową, ogólnokatolicką, doprawdy, uczynienie naprzekór tym żądaniom, podkreślenie wyłączności narodowej, pod pozorem poszanowania tradycji przeszłości (*risum teneatis amici!*), świadczy tylko wymownie o niewysokim poziomie duchowym inicjatorów i wykonawców zmiany.

I taka rzeczywistość ma nam imponować? Że głosy umiarkowane, głosy perswadujące—w tym wypadku nie tylko nasz, lecz i „Słowa“ również—nie trafiły do przekonania decydujących sfer kościelnych, to nie dowód jeszcze, by trzeba było milczeć i przyglądać się z rezygnacją, jak rzeczywistość drwi nie tylko z ideałów krajowych, lecz wogóle ze zdrowego rozsądku.

Zresztą *rira bien qui rira le dernier!*

Licz.

Piszą do nas.

Większa poufałość, niż znajomość.

Nikt nie może mieć nic przeciwko temu, że pewne grono osób, pragnących poprzeć tę lub inną akcję społeczną, łączy się ze sobą i tworzy komitet, który agituje na rzecz owej akcji, by zapewnić jej jaknajwiększe powodzenie.

Jest rzeczą niedopuszczalną jednak, by taki

komitet uzurpował sobie z jednej strony prawa władzy państwowej, kontrolując w instytucjach skarbowych i finansowych listy ich klientów, z drugiej zaś strony prawa jakiegoś areopagu moralnego, udzielając poszczególnym obywatelom admonicji i nauczek.

Kiedy otrzymałem od „Lokalnego Komitetu Obywatelskiej Pożyczki Narodowej” wezwanie do subskrypcji Pożyczki Narodowej, przyjąłem je do wiadomości z całym uznaniem dla gorliwości jego autorów, chociaż argumenty, zawarte w przysłanej mi odezwie nie trafiły mi do przekonania i cała jej motywacja nasunęła mi szereg zastrzeżeń.

Kiedy jednak w kilka dni potem otrzymałem od „Wileńskiego Grodzkiego Obywatelskiego Komitetu Pożyczki Narodowej” (zdaje się, że w międzyczasie nastąpiła zmiana nazwy) za podpisem dr. Maleszewskiego jako przewodniczącego i T. Nagurskiego jako sekretarza komitetu, powtórne wezwanie, wypominające mi moją opieszałość,—uczulem potrzebę protestu.

W tem drugim wezwaniu bowiem jest mowa o informacjach, udzielonych komitetowi przez instytucje, przyjmujące subskrypcję na pożyczkę, o osobach, które jej nie podpisały. Na jakiej zasadzie prywatne grono osób, które siebie uznało za Komitet Grodzki czy Lokalny, pozwala sobie na kontrolę subskrybentów? Dziwię się, że instytucje pomienione uważały za możliwe tych informacji udzielić osobom postronnym, nie reprezentującym Ministerstwa Skarbu. Ale to jeszcze nie wszystko.

Bardziej mię oburzył ustęp, który cytuję dosłownie: „Komitet Wileński Grodzki poczytuje sobie za obowiązek przypomnieć Sz. Panu o konieczności jaknajszybszego wywiązania się ze swego obowiązku obywatelskiego w stosunku do Państwa”.

Jakie są moje obowiązki wobec państwa, sam o tem wiem doskonale i nie potrzebuję specjalnych o tem pouczeń. Kto upoważniał panów, podpisanych pod wezwaniem do prawienia mi morałów i wskazywania mi, jak mam postępować? Wszystko powinno mieć swoje granice, gorliwość również.

Ostatecznie do reprezentowania opinii publicznej i zabierania głosu w imieniu społeczeństwa mają prawo posłowie sejmowi, jako wybrani (*sit venia*

synka domagała się natrętnie, by Orzeszkowa piła po białorusku, jak W. Syrokomla (?)”. Oczywiście bezskutecznie. Spędzając jednak ferje letnie w Poniemuniu, „otoczonym nędznymi wioszczynami o kurnych*) chatach, zamieszkałych przez białorusko-litewską ludność”, „Orzeszkowa korzystała ze swego pobytu, aby przełamać nieufne usposobienie ludu, zbliżyć się do niego, poznać jego gwara, zle i dobre strony mrukliwego charakteru. Z takich obserwacji zrodził się między innymi „Cham”.

Znamiennym faktem był wyraźny chłód, jakim darzyli wielką Grodniankę tak Sienkiewicz, tak Prus, nawet w kontakcie osobistym lub korespondencji, a więc posuwając się aż do niegrzeczności..

Wiele szczegółów ciekawych pomijam, podchwytując wymagające omówienia krytycznego lub sprostowania. Oto mówiąc o stosunkach pani Elizy do duchowieństwa katolickiego, znajdujemy nazwiska ś. p. ks. Czeczota, który jednak „rektorem Akademii Duchownej w Petersburgu” nie był; ks. Mił-

kowskiego... Znała obu: ś. p. ex ks. Edwarda Miłkowskiego, który ją daremnie próbował wciągnąć do zainicjowanego przezeń czasopisma „Protest”, i żyjącego ks. kan. Stanisława Miłkowskiego, którego naprawdę wyróżniała i wysoko ceniła. Pominięto tu nazwisko dobrego znajomego i częstego bywalca u Orzeszkowej w Grodnie, ks. Michała Rutkowskiego, który też z nią korespondował.

Nieprzemyślaną dał autor charakterystykę sędziwej Konstancji Skirmuntt, którą odwiedziła przed laty w Pińsku powieściopisarka. Tyleż zasłużyła Skirmunttówna na miano „wielkiej litwomanki”, ile np. Orzeszkowa na miano „szowinistki polskiej”... Niech to poczytane będzie raczej za *lapsus calami* niż za *lapsus linguae*. Należy nadmienić, że może żaden powieściopisarz polski nie był na Litwie tak poważany i nie doczekał tylu przekładów na litewski, co właśnie Orzeszkowa! Jej walory literackie wysoko zwykle podnosił jeden z najznakomitszych krytyków litewskich A. Jaksztas (ks. prałat Al. Dąbrowski).

Gdy po pogrzebie powieściopisarki w Grodnie-

*) Przesadał

verbo:) przez całą ludność, w żadnym zaś razie wyłoniony na jakimś zamkniętym zebraniu komitet, którego funkcje powinny się ograniczać jedynie do propagandy.

Obywatel.

WOLNA TRYBUNA.

O metody akcji unjonistycznej.

W Nr. 15—16 „Przeгляdu Wileńskiego“ z r. b., w artykule „Dokoła IV konferencji unijnej w Pińsku“, p. *Vigilans* podaje m. i. treść listu księdza Polaka z Małopolski, szczerego unjonisty, w którym nadmienia, że na konferencji było parę mniejszych zgrzytów, jak np. „ponowiony zeszłoroczny referat ks. *Poczopki o obrzędku łacińskim bez łaciny*“. To ostatnie zdanie uważam za nieścisle i wymagające sprostowania.

A więc, czy rzeczywiście ten wykład był zgrzytem? Odniosłem wrażenie, że nie. Zapewne poglądy, czy też wywody autora referatu mogły nie wszystkim przypaść do gustu. Mogli niektórzy odnosić przy słuchaniu ich wrażenie, jakby ich bito w ciemie, innym natomiast mogły się one bardzo podobać... Jeszcze ten się nie urodził, ktoby wszystkim dogodził. Uważałbym za gorszy zgrzyt wystąpienie owego uczestnika, któremu czuł się zmuszonym przerwać aż dzwonkiem J. E. Ks. Bp. Bukraba, przewodniczący konferencji, jak również jego głos w dyskusji, w której zamiast rzeczowo wyświełać, czy zbijając, dajmy na to, rzeczywiście jakieś niedorzeczne, czy utopijne wywody referenta, zarzucał mi, że: „*byłem katolikiem łacińskiego obrzędku, jestem żonatym, chcę wrócić do (swego rodzimego) łacińskiego obrzędku, ale mi nie pozwalają*“. (To ostatnie jest niezgodne z prawdą).

Dzięki Bogu, że mi tylko takie „zbrodnie“ zarzucić mogli moi oponenti. A że chcąc zwalczyć przeciwnika, nie występuje się przeciwko jego poglądom, lecz tylko przeciw jego osobie, to chyba dowód, że te poglądy są widocznie słuszne, chociaż

może nieprzyjemne. Prawdopodobnie zadrasnęły one miejsca najboleśniejsze. I rzeczywiście jakby w nagrodę za wysłuchanie publicznie ujawnionych aż tyle naraz „zbrodni“, kilku poważnych uczestników konferencji uściśnęło mi rękę, gratulując, że miałem „odwagę powiedzieć to, co wielu myśli, ale nie waży się wypowiedzieć“.

Następnie mówi autor przytoczonego przez *Vigilansa* listu, że ten referat był powtórzeniem zeszłorocznego. Otóż tak wcale nie jest. W zeszłym roku wygłosiłem referat p. t. „*Abraz naszej unijnaj pracy*“, a w roku bieżącym — pod nazwą „*Ci szto pramalaje za abradam zachodnym?*“ W zeszłorocznym referacie wyłuszczałem trudności, z jakimi musi walczyć pracownik unijny, w roku zaś bieżącym rozważałem okoliczności, które moim zdaniem przemawiałyby za tem, by prawosławnych, w niektórych okolicznościach, starać się pozyskać dla katolicyzmu w obrzędku zachodnim. Sądze, że konferencja jest to miejsce, gdzie każdy z zainteresowanych sprawą *ma nietylko prawo, ale nawet obowiązek* wypowiadać swoje zdanie o środkach i sposobach, jakie uważa za najskuteczniejsze do osiągnięcia celu, zaś współobecni mają również obowiązek w rzeczowych dyskusjach wypowiedziane poglądy aprobować, czy zbijając, by, jeżeli autor ich jest w błędzie, przekonać go o tem i skierować na dobrą drogę, a nie czynić wycieczek osobistych i nie zarzucać „zbrodni“, które w istocie rzeczy nie są nawet lekką winą. Tą drogą nie daleko zajdziemy i sprawie nie pomożemy oraz przeciwnika nie pozyszczemy. A powiedział ktoś gdzieś, i jest to świętą prawdą, że daleko większego dzieła dokonał ten, kto jednego przeciwnika zdołał pozyskać na przyjaciela, niż ten, kto dziesięciu przeciwników zgębił.

Dalej powiedziano w tym liście, że mój referat traktował „o obrzędku łacińskim bez łaciny“. I to uważam za potrzebne omówić i wyjaśnić szczegółowiej. Sprawa przedstawia się tak. Nie twierdząc bynajmniej, że w moich poglądach jestem nieomylny, mam najgłębsze przekonanie, iż obrządek zachodni, rzymski, czy jak kto chce łaciński (z łacina, czy bez łaciny), jest o wiele praktyczniejszy, i to pod wielu względami, jak dla wiernych, tak też i dla duchowieństwa, wtedy gdy obrządek bizan-

zarzucano w polskiej prasie wileńskiej rzekomą abstynencję kleru podczas żałobnych uroczystości, pracujący podówczas w Grodnie ś. p. ks. prof. P. Kraujalis, ogłosił list otwarty do red. „*Kurjera Litewskiego*“, gdzie zaznaczył, że acz Litwin, uważał dla siebie właśnie za obowiązek wziąć udział w tym pogrzebie.

Wymieniając porządniejszych gubernatorów grodzieńskich, którzy z Orzeszkową się zetknęli, myli się autor w chronologii, skoro umieszcza księcia Urusowa przed... Batuszkowym. Nie zasłużył też niczem na miano „*przyzwoitego*“ gubernator gen. von Zein, przybyły do Grodna z Hesingsforsu, gdzie był prawą ręką słynnego gnębiela Finów, wielkorządcy Bobrikowa. Pominięte zato zostały nazwiska takich tolerancyjnych gubernatorów jak Osorgin (ojciec dwóch znanych literatów rosyjskich Michała i Sergjusza, zamieszkałych dziś w Berlinie, przed laty też uczniów gimnazjum grodzieńskiego) i Blok (który pozwolił raz młodzieży gimnazjum grodzieńskiego na odbycie wiecu w... pałacu gubernatorskim).

*

Na to, co dziś określamy krótko słowem *Orzeszkowa* złożyły się następujące, prawie biegunowo sprzeczne pierwiastki: uniwersalizm i patriotyzm, pozytywizm i romantyzm. I trudno doprawdy określić, czem więcej ona była: szermierką u nas uniwersalizmu, czy też apostołką patriotyzmu? pozytywistką czy też romantyczką? Ogromny zmysł obserwacyjny, nadzwyczajna wnikliwość psychiczna, przedziwne życie się z naturą nadniemeńską (por. studjum St. Stankiewicza) cechowały jej pióro, dla którego flora nadniemeńska nie miała żadnych tajemnic.

Że postać Orzeszkowej bliższą nam odtąd się stanie, zawdzięczać będziemy wspomnieniom Franciszka Godlewskiego, któremu należy się szczerza podzięką za podzielenie się z ogółem tem, co widział, słyszał i przeżył w domu powieściopisarki. Tak ciekawa, przytem, jak rzadko, tania książka Fr. G. winna mieć zasłużone powodzenie i szerokie rozpowszechnienie.

Gardiner

tyńsko-rosyjski, czyli synodalny, ma wiele stron bardzo niepraktycznych, np. dawanie komunji łyżeczką, i to tylko w czasie liturgji, zbyt długie nabożeństwa, dużo świąt, dużo postów, nakrywanie głowy spowiadającego się i t. p. Otóż w moim referacie poruszałem te okoliczności, a także inne, przemawiające, mojem zdaniem, na korzyść obrządku zachodniego.

Neounję uważam za niepraktyczną głównie dla tego, że ona niczem, prócz dogmatów, nie różni się od prawosławia niezjednoczonego tak, że neouniści czują się i zawsze czuć się będą o wiele bliższymi do prawosławia niezjednoczonego, niż do katolicyzmu, z którym są zjednoczeni. Z tamtymi mają wspólne święta, posty, obrzędy, szaty, urzędzenia świątyni, słowem wszystko, co działa na zmysły, z katolikami zaś tylko wspólne dogmaty, rzecz nie podpadająca pod zmysły. Wobec tego neouniści-katolicy jednak czują się raczej prawosławnymi, tembardziej, że i księża-uniści nie przestają ich w liturgjach nazywać *prawosławnymi*.

Sądzę więc, że o wiele praktyczniej i pod wieloma względami lepiejby było, aby ci którzy zrywają ze schyzmą, zrywali też z nią wszelką łączność i podobieństwo, utożsamiając się jednocześnie pod każdym względem z katolikami całego świata. Że jednak język liturgiczny łaciński i język polski w kazaniach i nabożeństwach dodatkowych są jakby murem chińskim, odgradzającym katolicyzm od prawosławia i tę przegrodę trudno przewyciężyć ludowi białoruskiemu, lub ukraińskiemu, uważałbym przeto za bardzo pożądaną, by pozwolono księżom, pracującym nad pozyskaniem prawosławnych dla Kościoła katolickiego w obrządku łacińskim używać w liturgji języka słowiańskiego, z którym ci ludzie już się żyli, a różność form obrzędowych, bardzo wielu z nich mogłaby się nawet podobać. W kazaniach i dodatkowych nabożeństwach powinni duchowni używać języka miejscowej ludności. Więc takby wyglądał ten „*obrzędek łaciński bez łaciny*“.

Według mego zdania, taka koncepcja oddałaby wielką przysługę Kościołowi Powszechnemu i całemu społeczeństwu.

Jestem najświęciej przekonany, że to nie jest przeciwne unji, nie jest przeciwne woli Chrystusa, „*aby wszyscy byli jedno*“, nie jest też przeciwne życzeniom Stolicy Apostolskiej, jako wyrazicielce woli Chrystusa. Jeżeli zaś komukolwiek zdaje się, czy nawet ktoś może widzi, jak na dłoni, że jestem w błędzie, to niechaj dla dobra sprawy pofatyguje się mnie o tem przekonać, a znajduję w sobie dosyć pokory, by się poddać opinji przeciwnej. Ale dotąd jakoż żaden autorytet kościelny lub naukowy nie próbował mego mniemania obalić.

Ks. Bolesław Poczopko.

Bobrowicze.

Bibliografia.

Stankiewicz Adam. *Kastuś Kalinouski, „Mużyckaja Prauda“ i idea Niezależnaje Biełarusi*. Wydawnie Biełaruskaha Nacyjanalnaha Kamitetu. Wilnia. 1933 h.

Referat pod powyższym tytułem, który ks.

Adam Stankiewicz wygłosił w roku bieżącym na obchodzie 15-lecia ogłoszenia niepodległości Białorusi, ukazał się obecnie w druku. Daje to możność zapoznania się dokładniejszego z wywodami prelegenta, względnie autora pomienionego szkicu historycznego.

Przedewszystkiem należy podkreślić, że ks. Stankiewicz wyzyskał sumiennie wszystkie dostępne źródła do swej pracy. Czy zaś jego kategoryczna konkluzja, że słynny powstaniec, zwany „dyktatorem Litwy” był świadomym Białorusinem, a wydana przezeń „*Mużyckaja Prauda*” może być uważana za pierwsze pismo białoruskie — jest słuszną, to inna rzecz. Na ten temat możnaby się spierać.

Że Konstancy Kalinowski był szczerym ludowcem, że mając do czynienia z ludnością białoruską pisał i agitował wśród niej w języku białoruskim, że wreszcie był zdecydowanym przeciwnikiem polityki centralistycznej Warszawy — to nie ulega wątpliwości, ale to jeszcze nie dosyć, by go uważać za szermierza ideałów narodowych białoruskich. Postać Kalinowskiego nie jest dotychczas należycie oświetlona przez historyków. Wątpić można, aby to nawet kiedykolwiek nastąpiło wskutek braku dostatecznych źródeł. Zwykły to los działaczy konspiracyjnych. Relacje pamiętnikarskie (do których należy zaliczyć również „*Historję powstania*” A. Gillera) z natury rzeczy muszą być traktowane z wielkim krytycyzmem i wymagają sprawdzenia i uzupełnienia przez inne materiały (listy, dokumenty i t. p.), a tych właśnie brak. Wskutek tego w charakterystykach Kalinowskiego będą zawsze panowały dowolność i subiektywizm.

Uważam zresztą, że zastanawianie się nad narodowością Kalinowskiego jest poniekąd kwestją akademicką. Ponieważ w owym czasie ruch narodowy białoruski jeszcze nie istniał, nie mogło więc być mowy o świadomych Białorusinach, z pochodzenia zaś i kultury Kalinowski należał do środowiska szlachecko-polskiego.

Wystarczy stwierdzić, że Konstancy Kalinowski był konsekwentnym rewolucjonistą-ludowcem, wyznawcą ideałów demokratycznych i federacyjnych, obrońcą tradycyj W. Ks. Litewskiego, może być uważany przeto raczej za przedstawiciela typowego ideologii krajowej, niż za bohatera narodowego białoruskiego.

Również mam pewne wątpliwości, czy „*Mużyckuju Praudu*” można uważać za pierwsze czasopismo białoruskie. Wprawdzie ulotki pod tym tytułem były numerowane (Nr.Nr. 1—7), z treści jednak były to tylko odezwy agitacyjne i nie miały zupełnie charakteru perjodyków. Ale jest to kwestja natury czysto formalnej i mająca znaczenie jedynie dla bibliografów.

Powyższe zastrzeżenia nie pomniejszają w niczem wartości pracy ks. A. Stankiewicza. Bądź co bądź jest to pierwszy obszerniejszy życiorys najwybitniejszego powstańca z r. 1863, w którym zostały uwzględnione wszystkie dotychczasowe o nim dane biograficzne. Cenną zwłaszcza jest zamieszczona na końcu broszury bibliografia, zawierająca wszystkie materiały drukowane i rękopiśmienne, dotyczące pośrednio lub bezpośrednio osoby Konstantego Kalinowskiego i jego działalności rewolucyjnej.

a.